



Władysław Panas

Wykład o Widzącym z Lublina

Miejsce, w którym się znajdujemy jest mikrokosmosem odbijającym Lublin, a przez to miasto odbija się cały kosmos. Lublin jest księgą, a ta Brama na granicy dwóch światów, jest małą księgą. Lublin jest księgą, której rozdziały są połączone na zasadzie chiazmu. Jej zdania czy wersety są skomponowane metodą chiazmu. Albo może jeszcze lepiej - Lublin jest biblioteką Babel i zastanawiam się czy istnieje katalog, coś w rodzaju indeksu do tej biblioteki. Czy można mówić o niej, że jest kompozycją opartą na chiazmie, odwróconej symetrii, na zasadzie lustra, paradoksu obejmującego różne przeciwbieżności, które są również współbieżnościami. Dziwna kompozycja, ale kompozycja - czyli mimo wszystko pewien porządek; denerwujący, ale porządek. Dwa miasta w jednym mieście.

Co tu akcentować? Czy tę dwoistość Lublina - dwa w jednym, jedno w dwóch - i jak o tym mówić? Czy akcentować dwoistość czy jedność? Czy to napięcie i grę jedności dwoistości i dwoistości jedności? Czy jest to książka-biblioteka przypominająca szlachecką silva rerum, bigos, w którym jest wszystko? I jakie rozdziały czy księgi przeczytaliśmy z tego zbioru, jakie znamy lepiej lub gorzej albo przynajmniej wiemy, gdzie one leżą na półce?

Znamy parę tych ksiąg i pozwolę sobie przytoczyć całą serię nazwisk ich autorów: od Biernata z Lublina, dziadka literatury polskiej (jeśli Mikołaj Rej jest ojcem, to Biernat byłby dziadkiem), poprzez takich pisarzy jak Sebastian Fabian Klonowic, poprzez arian lubelskich, Marcina Czechowica, Wincentego Pola, Prusa, braci Wieniawskich, Łobodowskiego, świeżo dla naszej pamięci odzyskanego. To jest jakby jeden wymiar, jedna półka czy regał w tej bibliotece. Ale są też inne półki.

Dla świata dwaj najbardziej znani lublinianie to Jasza Mazur i Jakub Izaak Horowitz. Mówiąc, że są oni najbardziej znani, mam na myśli to, że można o nich przeczytać w najmniej kilkunastu najważniejszych językach; że usłyszysz się o nich w Nowym Jorku, w Londynie, Paryżu, Monachium, Uppsali, w Jerozolimie. Może się to wydać przykre, ale poza wyjątkiem Henryka Wieniawskiego są to w ogóle jedyni znani w świecie mieszkańcy tego miasta w całej jego dotychczasowej historii.

Jaszę Mazura, jak można przeczytać już w pierwszym zdaniu powieści, wszędzie poza rodzinnym miastem nazywano Sztukmistrzem z Lublina. A tego drugiego nazywano Widzącym z Lublina. Ten pierwszy jest postacią fikcyjną, wymyśloną przez pisarza Izaaka Bashevisa Singera. Ten drugi to postać realna. O tym pierwszym wiemy sporo. ów fikcyjny bohater zrobił tu nawet pewną karierę i cieszy się popularnością. O tym drugim zdaje się wiedzą nieliczni i myślę, że nadszedł już czas, aby coś o nim powiedzieć, by uniknąć sytuacji, jaka zdarzyła się dwanaście lat temu z pewnym poetą, który dostał nagrodę Nobla i nikt o nim nic nie wiedział.

To była wielka kompromitacja. Zapanował wtedy popłoch, bo należało o nim coś napisać w gazecie albo zrobić o nim lekcję w szkole - w końcu niecodziennie Polak dostaje nagrodę Nobla. Pamiętam tę konsternację w szkołach i wśród dziennikarzy. Skoro więc Widzący z Lublina jest najbardziej znanym lublinianinem, prawie utożsamionym z tym miastem, bo lepiej znamy jego przydomek niż nazwisko, chciałbym dzisiaj Państwu opowiedzieć coś o nim, żeby w przyszłości uniknąć podobnej konsternacji.

Właściwie mógłbym w tym momencie zakończyć mój wykład, bo to, co chcę Wam o nim dalej powiedzieć, będzie coraz mniej jasne. Być może trzeba by być artystą, żeby zrobić to dobrze.

Mogę powiedzieć, jak się ten człowiek nazywał: Jakub Izaak Horowitz. Mogę powiedzieć, z mniejszym prawdopodobieństwem, kiedy się urodził i gdzie: około 1745 roku w Józefowie nad Wisłą. Z całkowitą pewnością można powiedzieć, kiedy umarł: w 1815 roku. Można o tym nawet przeczytać, bo jego grób jest niedaleko stąd. Nazywano go rozmaicie - Jasnowidz z Lublina, Widzący z Lublina, ha-Choze mi Lublin, Świętobliwy z Lublina, Jakub z Lublina. I wiadomo jeszcze, że pozostały po nim trzy książki, a właściwie trzy zbiory jego mądrości, jego nauk. Pozostało też po nim kilka biografii. Ale to jest informacja „pusta”, bo my tych książek nie znamy.

Wydaje mi się, że chyba nawet nikt w Polsce nie miał ich w rękę. Widzący z Lublina był chasydem; mało że chasydem - był cadykiem. Chasyd znaczy „pobożny”, a cadyk to dosłownie tyle co „sprawiedliwy”, człowiek żyjący w prawdzie. W tym momencie muszę opowiedzieć o chasydyzmie, choć jest to coś, co niezupełnie daje się lub co powinno się systematyzować. Zaraz wyjaśnię, dlaczego.

Na temat chasydyzmu istnieje bogata literatura, również po polsku. Na przykład *Opowieści chasydów* Martina Bubera czy *Dziewięć bram do mądrości chasydów* Jiřego Langerera. Jest to ruch religijny, który formował się w połowie XVIII wieku, a jego początki związane są z jednym człowiekiem, zwanym najczęściej Baal Szem Tow, czyli Pan Dobrego Imienia. Cieszył on się wśród ludzi „dobrym imieniem” i był właśnie tym „sprawiedliwym”, czyli człowiekiem żyjącym w prawdzie. Chasydyzm narodził się w Karpatach, na Huculszczyźnie, skąd później rozprzestrzenił się na inne ziemie dawnej Rzeczypospolitej.

Powstał on jako ruch antyintelektualny, aintelektulany, i właśnie dlatego niezręcznie jest mi mówić o nim w trybie referującym - ponieważ oznacza to sprzeniewierzenie się jego duchowi.

Trzeba by go zamykać w zdania, w okresy mniej lub bardziej logiczne, a to był ruch, który zrodził się wśród ludzi prostych, nieuczonych albo, jak mówili przeciwnicy, wręcz nieuków czy półanalfabetów, którzy nie pokończyli szkół, a jeżeli pokończyli, to od razu zapomnieli, czego się nauczyli.

Był to ruch o charakterze rewolucyjnym w obrębie judaizmu, który pozostawał z nim w wielkim konflikcie i był prześladowany przez współwyznawców. Nigdy nie sformułował on żadnej doktryny, czyli czegoś, co da się ująć w jakies zasady. Był to raczej styl życia czy bycia i o tym - zanim przeczytacie wspomniane książki - mogę trochę opowiedzieć, zwracając uwagę na parę charakterystycznych punktów.

Nie przesadzałem, mówiąc, że należałoby o nim opowiedzieć metodą „artystyczną”, bo też był on w pewnym sensie ruchem artystycznym. Nie opierał się na usystematyzowanej doktrynie. Prawda była w nim przekazywana w formie opowieści. Opowieść, czyli historia, bajka, legenda, mit, zmyślenie. Fikcja była w nim często tym, czym gdzie indziej jest wykład.

Zamiast mówić jasno, o co chodzi, chasydzi opowiadali regularne bajki, które są zapisane dziś albo w formie fabularnych historii, albo - jak w wyborze Martina Bubera - krótkich historyjek, albo aforyzmów, myśli czy paradoksów.

Za chasydyzmem stała wielka wiara w moc opowieści. Człowiek, który opowiada - mówili chasydzi - to jest ktoś, kto sprowadza światło Mesjasza, kto przybliży zbawienie; podobnie i słuchający. Mamy tu więc różnicę w stosunku do wielu innych znanych nam zachowań religijnych, gdzie dąży się do wykładu, doktryny, systematyzacji. Prawie wszyscy mistrzowie chasydyzmu nie zapisywali swoich nauk, jakby nie zapis był ważny, lecz samo opowiadanie. Wobec tego przytoczę Państwu opowieść o opowieści, opowieść o mocy opowieści.

Twórca chasydyzmu Baal Szem Tow jako wędrowny uzdrowiciel i kaznodzieja chodził po Podolu i po Huculszczyźnie, wśród Huculów po połoninach, od wspólnoty do wspólnoty, od karczmy do karczmy. Cieszył się on tak dobrą opinią, że pomagał mu nawet miejscowy rozbójnik Dobosz, huculski odpowiednik Janosika. Gdy Baal Szem Tow miał jakiś trudny problem do rozwiązania, szedł gdzieś w upatrzone miejsce karpackiej puszczy, rozpalał ognisko, pogrążał się w modlitwie i zawsze znajdował rozwiązanie.

W następnym pokoleniu mistrzów chasydzkich jakiś inny cadyk miewał podobne problemy co Baal Szem Tow, bo ludzie zawsze miewają podobne problemy. Również i on szedł w to samo miejsce i mówił: „Ja już nie umiem rozpalać ogniska, ale mogę nadal modlić się”. I jego problem również znajdował pozytywne rozwiązanie. Minęło jeszcze jedno pokolenie i ten sam problem trapił kolejnego cadyka, który również szedł do lasu i mówił: „Nie umiem rozpalić ognia, ani nie znam tej tajemnej medytacji, która pozwoliłaby nadać siłę mojej modlitwie. Ale nadal znam to miejsce”. I znowu na kłopot znajdowała się rada.

Minęło kolejne pokolenie i kolejny cadyk, słynny Izrael z Różyna na Bukowinie, też miał taki problem, więc siadał w fotelu w swoim pięknym pałacu, zakładał nogę na nogę i mówił: „Ja nie umiem rozpalić ognia, nie znam już tej modlitwy znanej ze swojej siły, nie umiem nawet znaleźć owego miejsca w lesie, gdzie modlili się inni cadykowie, ale mogę o tym wszystkim opowiedzieć”. I oczywiście jego problem również znajdował pozytywne rozwiązanie. Moc opowieści wystarczyła.

Słuchając teraz mojej opowieści, również wpisujecie się Państwo się w tę sytuację, co mnie trochę peszy, ponieważ istnieją pewne restrykcje mówiące, jak należy opowiadać. Pewien rabbi, cadyk, mówił tak: „Mój dziad był kulawy i kiedyś poproszono go, aby opowiedział o swoim mistrzu. Zaczął więc opowiadać, jak jego świętobliwy nauczyciel modlił się, a kiedy się modlił, wpadał w trans, w ekstazę, zaczynał tańczyć i śpiewać. Opowiadając to, mój dziadek również zaczął tańczyć i śpiewać, nie zwracając uwagi na swoją ułomność. I od tego czasu przestał kuleć. Oto jak należy opowiadać”. - Zakończył wreszcie ów rabbi. Tak należy opowiadać, żeby się „wznosić”, żeby ktoś kto jest ułomny mógł tańczyć, żeby wszyscy mogli tańczyć.

Myślę, że nie jestem w stanie tak opowiadać, aby Państwa pobudzić aż do tego stopnia. Proszę jednak pamiętać, że tylko tak opowiadane historie mają sens. Inaczej nie warto opowiadać. Dlatego właśnie trzeba być artystą, żeby mówić o chasydyzmie. My możemy jedynie przeczytać te bajki, te opowieści, z których czasami wysnuwa się jakiś morał. Buber i inni napisali kilka czy kilkanaście książek na ten temat, ale czytać te opowieści zamiast ich słuchać, to tak, jakby czytać opis czyjejś gry na fortepianie. Chasydyzm to jest pewien etos, pewien styl bycia, w którym nie odróżnia się modlitwy od reszty życia - nie odróżnia się w nim swoich stanów: teraz jestem kimś, kto się modli; a teraz jestem ojcem rodziny; a teraz uczniem - lecz w którym życie stanowi jedność.

Jak ten ruch powstał i jak się wyłaniał z judaizmu? Był więc ów Baal Szem Tow i jego uczniowie, a potem uczniowie tych uczniów i tak dalej. Kim byli ci uczniowie, których określano mianem cadyków czyli sprawiedliwych? Byli to ludzie o niezwykłej intuicji religijnej, mający zdolność przenikania prawd, widzący dalej, głębiej, dostrzegający tę rzeczywistość, której zazwyczaj się nie dostrzega - i umiejący wprowadzić czy przeprowadzić innych przez tę rzeczywistość, pokazać im, zasugerować, odsłonić to czego sami nie mogą dostrzec. Byli to więc ludzie posiadający pewne właściwości czy moc - jakby święci albo mistrzowie buddyjscy. Każdy z nich miał swój własny styl, własny etos i własny folklor, wręcz jakby własną kulturę i skupiał wokół siebie krąg uczniów. Jednym z najważniejszych centrów tego ruchu był Lublin i Widzący z Lublina. Skupił on wokół siebie ogromną grupę uczniów, którzy potem poszli w inne rejony Polski i sami zaczęli tworzyć własne grupy. Bo cechą charakterystyczną chasydyzmu jest wspólnota.

Nie można być chasydem indywidualistą czy samotnikiem. Kiedy mówimy o chasydyzmie, to od razu pojawia się ta struktura: „sprawiedliwy”, cadyk i jego uczniowie, chasydzi. Jedyna w świecie grupa chasydów nie mająca cadyka (jej założyciel Nachman z Braclawia zmarł na początku XIX wieku) nazywana jest „martwymi chasydami”. W swojej wspólnotowości,

w zachowaniach, w sposobie przeżywania życia, chasydzi bardzo przypominają świętego Franciszka z Asyżu. To jest w pewnym sensie ruch stricte franciszkański. Oczywiście, z zastrzeżeniem, że mówimy o zupełnie innym gruncie religijnym.

Jeżeli więc w chasydyzmie nie gra roli strona dogmatyczna i dyscyplina jak w ortodoksyjnym judaizmie, to jaki element odgrywa tę wiodącą rolę? Taką podstawową cechą w chasydzkim stylu zachowania modlitewnego jest radość. Wszystko, co robią chasydzi, jest odwołaniem do wszechobejmującej nas radości radości. Smutek jest gorszy od grzechu. Człowiek smutny nie tylko sam jest smutny, ale i innych zasmuca, również i Boga. Na ten temat opowiada się o Widzącym z Lublina następującą historię.

W bogobojnej gminie lubelskiej żył pewien grzesznik, który nie przepuszczał żadnej okazji, żeby popełnić jakiś przyjemny grzeszek i najszcześniejszy był wtedy, gdy nachodziła go pokusa, a on jej ulegał. Nigdy też nie żałował swych złych uczynków, a cieszył się występkami. Na pewno nie podalibyście mu ręki, a najchętniej omijalibyście go z daleka. Jednak Świętobliwy z Lublina z nikim tak bardzo nie lubił rozmawiać, jak właśnie z nim. Witał go z większą radością, niż najbardziej cnotliwych chasydów, co ich bardzo martwiło. Tymczasem jasnowidz tłumaczył im: „To wyjątkowy człowiek i zasługuje na podziw. Nie znam nikogo, kto byłby stale, tak jak on, wesoły. Wiedźcie bowiem, że gdy kusiciel namawia człowieka do grzechu, to nie tyle chodzi mu o to, by biedak naprawdę zgrzeszył, ale by się tym zamartwiał, by dręczyło go sumienie, smutek duszy, który przychodzi po grzechu. Kusiciel właśnie tego chce, bo smutek to największe zło na świecie i przed tym złem musimy się mieć stale na baczności”.

Dla kogoś z zewnątrz w chasydyzmie najbardziej rzucają się w oczy właśnie owe przejawy radości, kiedy modlitwa przeradza się w taniec i śpiew, co nam, niewtajemniczonym, przywodzi na myśl różne formy sztuki. Ten charakterystyczny śpiew - zwany *niggun* - oraz taniec są dwiema podstawowymi formami chasydzkiej modlitwy. W *niggunach* albo tekstu jest niewiele i niezbyt ważnego, bo słowa przez swoje znaczenie odnoszą nas gdzieś na zewnątrz, albo w ogóle nie ma słów, a jedynie pojedyncze sylaby i to jest klasyczny, czysty *niggun* chasydzki.

Ten śpiew łączy się z tańcem i nie ma początku ani końca. Typowy tekst ma początek i koniec, a zaśpiewy takie jak „ojoj” czy „jababam” można zacząć w dowolnym momencie i teoretycznie nigdy nie skończyć. One odnoszą nas do nieskończoności, tak jak i koło w którym się tańczy. Oczywiście, w pewnym momencie następuje kres śpiewu i tańca, ale na skutek fizycznego wyczerpania, a nie dlatego, że skończyła jakaś sekwencja figur albo muzyka. Początek i koniec ma tu charakter czysto fizjologiczny.

Nie umiem o tym opowiadać, więc przyniosłem *Austerię* Juliana Strykowskiego. Austeria to inaczej przydrożna karczma. Być może oglądaliście Państwo film Jerzego Kawalerowicza pod tym samym tytułem i pamiętacie takie sceny: jest wojna, armia austriacka się cofa, armia rosyjska nadchodzi. Kozacy są już blisko. Już coś płonie, już szykuje się pogrom. Do karczmy zajeżdża

grupka chasydów, która jednak wszystko to ignoruje. Nie obchodzi ich, że obok nich leży trup dziewczyny. Główny bohater powieści pyta: „Czy tak się godzi? Nadchodzi koniec świata, za chwilę wszyscy możemy zginąć, a wy chcecie śpiewać?”.

Bo oni śpiewają i wpadają w trans, a co gorsza zanosi się, że zaraz zaczną tańczyć. Z czego się cieszyć? Przecież nadchodzi koniec świata. Na to jeden z chasydów mówi: „To dobrze, to bardzo dobrze. Usłyszymy róg Mesjasza. Ja już słyszę Jego kroki. Nadchodzi Zbawiciel. Taniec podnosi człowieka trzy stopy nad ziemię i my tym tańcem przybliżamy Jego nadejście. Wyzwolenie przyjdzie w śpiewie...”. Proszę zwrócić uwagę, że nie są to stwierdzenia dyskursywne. One odnoszą się do jakiegoś innego porządku.

Przeczytam kawałeczek: „Usłyszał śpiew bez słów. Tylko same jęki. - Ten śpiew bez słów to rzeczywiście są „jęki”. - Jęki układały się w melodię, z początku cichą, a potem coraz głośniejszą i szybszą. Oj joj, joj, jo, joj... - i tak dalej. - Tańczyli. Naprzód wszystko naraz, zamazane w świetle wiszącej lampy przyćmionej kaszmirową chustą dziewczyny do krów.

Koło. Czarne kapoty, rozwiane poły, szerokie kapelusze, białe pończochy. Koło załamywało się o róg kredensu, o długi stół izby austerii, o ławki, rozpadało się. Znów brali się za ręce jak dzieci, odnajdywali się, łączyli, idąc za śpiewem jak niewidomi. Mieli zamknięte oczy. Przytupywali, raz lewą nogą mocniej, raz prawą nogą mocniej, wyrzucali w górę raz prawą rękę, raz lewą rękę. Klaskali. Schylali się i raptownie podrywali głowy jak konie. Kręcili tułowiem raz w lewo, raz w prawo, odwracali twarze raz w lewo, raz w prawo. Kładli wyprostowane dłonie jeden na bark drugiego i posuwali się przed siebie, jak egipskie figury z Historii Powszechnej.”

To jest właśnie ów chasydzki taniec i śpiew. To są ludzie sami będący śpiewem i tańcem. Co, rzecz jasna, było kontestowane i wyśmiewane, również dlatego, że podczas modlitw chasydzi mogli korzystać z alkoholu. Wyjaśniali, że alkohol jest rzeczą dobrą, bo jak Szatan widzi chasydów, którzy siedzą przy stole ze szklankami pełnymi wódki, to mówi swojemu szefowi Lucyferowi, że nie ma co się z nimi przejmować. I w ten sposób oszukują złego.

Wracam do Widzącego z Lublina. Według chasydów diabeł nie mógł działać od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę. W pewien szabas Widzący tak się zapędzał w swoich tańcach, modlitwach i śpiewach, że przedłużył święto poza zachód słońca. Już słońce zaszło, północ nadeszła, a on dalej świętował, więc diabeł bardzo się denerwował. Cadyk miał z Szatanem nieustannie na pieńku. W końcu postanowił rozstrzygnąć ten problem w sposób ostateczny, do czego chciał wykorzystać pewien historyczny moment, kiedy Napoleon szedł na Rosję.

Widzący z Lublina i dwóch jego kolegów - cadyków, jeden z Rymanowa w Beskidzie Niskim, a drugi z Kozienic, wspólnie uznali, że ów czas, kiedy cała Europa jest w stanie wojny, przypomina sytuację, którą Pismo Święte opisuje jako apokaliptyczną wojnę Goga i Magoga poprzedzającą koniec świata. Cadykowie postanowili włączyć się w tę metafizyczną walkę. Ten z Rymanowa był zwolennikiem Napoleona i modlił się za jego sukcesy, a ten z Kozienic był przeciwnikiem

Napoleona i modlił się za cara Rosji i nawet doradzał księciu Czartoryskiemu, żeby nie szedł z Napoleonem na Moskwę. Widzący zaś, będąc po środku, zbierał te sprzeczne siły i dokładał do nich własne modlitwy i działania magiczne.

Wszyscy trzej umarli w 1815 roku. Widzący z Lublina wypadł przez okno. Czuł, że Zły mu zagraża i poprosił żonę, aby go pilnowała, ale diabeł zastosował podstęp. Żona usłyszała płacz dziecka na korytarzu i na chwilę wyszła zobaczyć co się dzieje. Kiedy przyszła do pokoju, Widzącego już nie było. Znalaziono go leżącego pod domem potłuczonego i połamanego. Potem wiele miesięcy cierpiał i w końcu umarł.

Zdaję sobie sprawę, że to, co powiedziałem, jest bardzo ograniczone, ale proszę to potraktować jako wypowiedź ucznia, który wie, gdzie ma czapkę, buty, a nawet zeszyty i książki, ale nie zawsze wie, gdzie sam się znajduje. Dziękuję.

Sesja „Żydzi lubelscy” w Ośrodku „Brama Grodzka - Teatr NN”. Archiwum TNN.

Opracowanie i redakcja: Aleksandra Zińczuk